

Dajcie spokój 100-letniej staruszce

Oryginalne podanie do p. Ministra Skarbu

Pewna znana w Równem na Wołyniu żydówka, która — jak pisze „Warszawer Radjo” — osiągnęła już piękny wiek zgórą stu lat, ma kłopoty z egzekutorami skarbowymi i użyła w walce z nimi argumentu, na jaki rzadko kto może się powołać.

Staruszka ta, niejaka I. T. była niedługo bardzo bogata. Obecnie żyje na utrzymaniu córki i od dawna już nie ma ani żadnego majątku, ani żadnego dochodu, lecz — niestety — ma... zaległości podatkowe! Zaległości te sprawiają, że biedną staruszkę 100-letnią nachodzą ciągle gorliwi egzekutorzy. Zniecierpliwiona tem i zrozpaczona staruszka podała wreszcie niedawno do Ministerstwa Skarbu podanie, w którym pisze, że bezwzględność

egzekutorów skarbowych tak ją męczy, iż niewątpliwie musi to jej skrócić życie, kiedy tymczasem ona przeżywszy już więcej jak 100 lat, co przecie tak często się nie zdarza, chciałaby ostatnie lata, których zapewne niewiele jej już pozostaje spędzić w spokoju.

Wskutek tego podania, przeprowadzono oszacowanie majątku niewypłacalnej dłużniczki skarbu Państwa. Okazało się, że „majątek” ten wynosi... około 50 zł. w ruchomościach, ubraniu i bieliźnie! Teraz staruszka żyje już spokojnie. Egzekutorzy przestali do niej przychodzić. Przypomniało im się zapewne starożytność, a pełne głębokiej mądrości powiedzenie „I król Salomon z pustego nie najeje”.

Rezydencja Żółkiewskich i Sobieskiego zostanie wkrótce odnowiona

ŻÓŁKIEW, 18.1. Prace rekonstrukcyjne czterech komnat i przedsiwnia w zamku królewskim w Żółkiewsku, a później królowi Janowi III, pozostaje jeszcze do rekonstrukcji ostatnia sala, t. zw. Tronowa.

zawia skrzydło zamku. W skrzydło tem, które służyło za rezydencję założycielowi miasta, hetmanowi Żółkiewskiemu, a później królowi Janowi III, pozostaje jeszcze do rekonstrukcji ostatnia sala, t. zw. Tronowa.

Dusza cyrku

Ludzie i zwierzęta w wozach

Istnieje cała masa nowych, wspaniałych wynalazków rozrywkowych. Mamy kino, mamy radjo — ale to wszystko nie wyrugowało jeszcze cyrku. Starego cyrku z tysiącem atrakcyj i produkcji. Cyrku pełnego romantycznego uroku. Dziś jeszcze po europejskich traktach, od stolicy do stolicy, od kraju do kraju — ciągną wielkie wozy, jedzie cyrk. Oczywiście, że te wspanialsze, te bogate cyrki przewożą swój zespół, urzędnika i zwierzęta — koleją, specjalnymi wagonami. Ale te biedniejsze — te wędrują, jak za dawnych czasów, kiedy arenę oświetlano „oślepiającym” światłem gazowym.

DZIECI CYRKU

Dyrektor cyrku jest zarazem jakby naczelnikiem jakiegoś klanu, władcą i prawodawcą tego małego, wędrownego państwa, które ma swoje własne prawa. A prawa są surowe — obowiązują przedewszystkiem koleżeństwo, lojalność i posłuszeństwo. Obowiązują również moralność. Bardzo surowa, taka mieszczańska moralność.

Kwitnie także życie rodzinne. W wagonie-jadalni gromadzi się cała rodzina. Wszyscy siedzą przy stole, a mama, która jest może kobietą-wędrem, lub też woltjerką — krzyczy na niegrzeczne dzieci.

Z cyrkiem wędruje również nauczycielka, która w jednym z wozów odbywa codziennie lekcję ze wszystkimi dziećmi cyrkowemu. Muszą się uczyć. Ale dzieci nie zawsze chcą się uczyć i stanowczo wolą wymlknąć się do tego wozu, gdzie siedzi hiena Cleo ze swoimi małymi. Tak strasznie przyjemnie jest głośkie te małe, śmieszne zwierzątka, które już zaczynają chodzić i bawić się jak małe psiki. Ale to wszystko trwa dotąd, dopóki mama-hiena nie okaze niezadowolona i nie rzuci się na małych ludzkich intruzów. Wtedy — trzeba się cofać coby prędzej, bo Cleo jest zła.

Takie zabawy trwają dopóki nie skończy się lat dziesięciu. A potem...

POTEM JEST PRACA, OKŁASKI I KREW

Potem — jest praca. Kiedy się ma skończoną trzynastkę lat, wolno występować na arenie jako poskramiacz dzikich zwierząt. Mały chłopak, wtedy, kiedy bawi się z małymi hienkami, już myśli o swoich występach na arenie. Kiedy ma lat dziesięć, zaczyna się przygotowywać do występów. Chłopak z wozu cyrkowego zaczyna już tresować te zwierzęta, z którymi będzie potem występował. Mały, dziesięcioletni brzdąk, robi swój pierwszy krok w życie — krok do klatki lwa, pantery, czy przegrywanych, wspaniałych tygrysów. Zaczyna — karierę.

Zazwyczaj do tej pierwszej tresury dostaje okazy młode, które przywiązują się potem do niego. Czasem ta tresura i przywiązanie wiąże się z niejedną tragedją.

Tak właśnie było ze wspaniałym lwem Artagnanem i jego poskramia-

czem i treserem, jednym z braci Amar — sławnych cyrkowców.

ZBUDZIŁ SIĘ LEW

Kiedy Amar, jako jedenaścioletni chłopak dostał w małym koszyku dwa dwumiesięczne lwiatka, Belionę i Artagnana, ojciec Amara, pasując go jakby na artystę cyrkowego, dał mu wówczas te kardynalne rady, których powinien zawsze przestrzegać każdy poskramiacz zwierząt: po pierwsze nigdy nie wchodzić samemu do klatki, o ile w pobliżu niema człowieka, który mógłby go ratować, w razie gdyby zwierzęta się rzuciły, po-zatem — odwiedzać zwierzęta jak najczęściej, aby się przyzwyczaiły i przyzwyczaiły jaknajbardziej, ale jednocześnie nigdy nie ufać im ślepo. Dzikie zwierzęta, nawet te, które urodziły się i wychowały w niewoli — przez dziwny atawizm — wpadają w gniew, w dziwny szal, zaślepienie i mogą się rzucić. Czasem najniebezpieczniejszy drobiazg wystarczy, aby je rozdrażnić.

Przyszły pogromca Amar wychowywał swoje lwiatka z przejęciem i z wielką czułością. Kiedy przechodziły ciężki okres swego szesnastego zębokowania i wyrzynały im się te olbrzymie, groźne kły, mały Amar czuwał przy nich całe noce i spał w klatce.

Potem przyszły dni triumfów i sławy — na prawie wszystkich arenach w Europie i Ameryce produkował się trzynastoletni poskramiacz Amar ze swoimi lwami.

Aż po paru latach — wspaniały lew Artagnan jakby przebudził się, jakby utracił swoją łagodność.

GRÓŹNY ARTAGNAN — POSŁUSZNY PROMIENIOM KSIĘŻYCA

Któregoś dnia przez cały sznur wozów przebiegł rozegrany od turkotu kół okrzyk:

— Lew rozszarpał człowieka.

Leciw, raatunku!

W klatce Artagnana leżała krwawa masa mięsa, która było przed chwilą żywym człowiekiem. Artagnan rozszarpał młodego chłopca, jednego z tych, którzy zazwyczaj asystują poza klatką pogromcy, gotowi w każdej chwili przyjść mu z pomocą. Jak się okazało — chłopak wszedł do klatki, naśladując pogromcę-Amara.

Tegoż samego wieczora — jak zawsze — kładł na arenie Amar głowę w paszczę Artagnana. A Artagnan był posłuszny i łagodny, jak baranek. I nie zdradzał żadnego szczególnego rozdrażnienia. Był zresztą ciekawym okazem lwa-lunatyka.

Ale potem — tragiczne wypadki zaczęły się powtarzać. Artagnan stał się przysłowiową bestją. Któregoś dnia poszarpał i okaleczył w straszny sposób pogromcę-Coopera. Stało się to wtedy, kiedy Amar był chory, a Cooper uparł się, że go zastąpi i zrobi jego numer. Był wtedy już i tak okaleczony przez panterę Margot. Ale to, co z nim zrobił Artagnan, było straszne. Kiedy po dziesięciu miesiącach Cooper wyszedł ze szpitala, jego twarz wyglądała jak okropna maska.

ŚMIERĆ ARTAGNANA

Artagnan stawał się coraz bardziej groźny i niebezpieczny. Pewnego wieczora, podczas spektaklu — rzucił się na swojego pogromcę, na Amara, który wychował go i pieścił. Trzeba przytem dodać, że Amar, w przeciwieństwie do Coopera, miał bardzo łagodny i spokojny system tresury i unikał praktykowanego dla wzmożenia efektu — drażnienia zwierząt. A jednak Artagnan rzucił się nań niego. Amar cofnął się szczęśliwie i w pazurach lwa został tylko — but pogromcy.

I wtedy pogromca Amar postanowił się rozstać z Artagnanem. Artagnana — postrach ludzi z wozów cyrkowych, trzeba było zabić. Akurat tak się złożyło, że jedna z wytwórni filmowych poszukiwała lwa, który miał być zabity podczas filmowania. Amar sprzedał swojego lwa filmowcom.

Przed paroma dniami, podczas nakręcania filmu, w okolicy lasu Fontainebleau, na tle egzotycznych dekoracji, zginął Artagnan, okrutny lew, który posłuszny był promieniom księżycy.

Gdy wielcy aktorzy piszą wiersze... i „Sonety gastronomiczne” Wiersz Mieczysława Frenkla

Wśród papierów znakomitego aktora Mieczysława Frenkla, znajdując się istne skarby dokumentów obyczajowych, nieznanych rękopisów, cennych autografów i kiedyś biurko wielkiego odtwórcy polskiej komedji, będzie istną kopalnią dla przyszłych badaczy tej epoki.

Właściwie są to już czasy, które odeszły w cień przeszłości i coraz bardziej odchodzą w cień zapomnienia.

Modny jest dziś „rok 1900”. Wyraża się w tem pewna tęsknota do doby, w której nie było kryzysu i dzisiejszych konfliktów. Zdawałoby się, że życie wówczas układało się gładziej, ale myśli się tak czasem chyba dlatego, że nie bierze się pod uwagę trudności coprawda innych, lecz napewno dokuczliwych. Rządy zabór-cze, cenzura... To wszystko odbijało się i w świecie artystycznym ówczesnej Warszawy. Ulotne wiersze, wierszyki, facecje miały ukryte żądło. Chodziło o przemycenie utworu, schwytywanie aprobaty cenzury, a potem pu-

bliczne wykonanie powiedziało już publiczności, co jest sednem rzeczy. Do Mieczysława Frenkla schodziła się brać artystyczna i niosła zapisane świstki papieru, pro-sząc: — Mieciu, powiedz to na koncercie! Mistrzu, zadeklamuj to!

I tak w biurku Frenkla pozostawały autografy, które dziś nabrały patyny przeszłości i cenne pamiątki.

Wśród nich syn artysty, sam

również znany aktor, Tadeusz Frenkel, wynalazł szereg rękopi-sów Prusa, Gomulickiego, Miłosza Kotarbińskiego, Wacława Szymanowskiego, Tadeusza Ok-szy - Grabowskiego, a nawet i swego ojca. Będzie je czytał dziś na wieczorze literackim w SiM'ie urządzanym pod nazwą „Humor naszych ojców”.

Właściwie nie są to zawsze

rzeczy wesołe, niektóre zaś inte-ligują przedewszystkiem ze wzglę-du na nazwiska autorów.

„Sonety gastronomiczne”

Do najzabawniejszych należy

cykl „Sonetów” gastronomicz-nych, złożony z trzech sonetów napisanych przez Wiktora Gomu-lickiego i z sonetu, którego auto-rem, ukrywającym się pod pseu-donimem „Fidelio” jest głośny

ongi aktor, Wacław Szymanow-ski. Oto jego sonet z wymownym tytułem: „Pobojowisko”:

Tablica Chopina w Dreźnie

Jak wiadomo, Chopin przebywał parokrotnie w Dreźnie. Na domu przy placu Neumarkt, gdzie mieszkał w r. 1835, będzie umieszczona tablica pamiątkowa, skomponowana przez rzeźbiarza drezdeńskiego, Rad-datza. Odsłonięcie odbędzie się w lu-tny; połączone z niem będą uroczy-stości chopinowskie.

Sztuka „Moralność” zakazana soowodu niemoralności

Polieja wiedeńska zawiesiła dalsze przedstawienia sztuki teatralnej p.t. „Die Moralität”, wystawionej na scenie teatrzyku „Die Tribune”, spo-wodu jej niemoralnej treści. Dyrektor teatru, Herwig, i sześciu akto-rów zostało przez policję aresztowa-nych. Po udzieleniu wszystkim are-sztowanym ostrego ostrzeżenia, poli-eja wypuściła ich na wolność.

„Skończyło się — już znikły potraw sterty cafe; Garść nędznych niedobitków półmiski zalega; Woń jadła, co rozkosznie bila pod powalę Zgasła już — znikł apetyt — nie szukajcie zbiega

Wszystko ma swoją porę, i wielkie i małe... Gdy miara przepelniona od brzoza do brzoza. Napój z czary utracą przymioty wspaniałe I w najpiękniejszym dziele błędy się dostrzeżę.

Skończyło się — więc każdy już dla siebie szuka Miejsca, oddalonego od stołu, w półcieniu, Gdzieby mógł swobodnemu oddać się marzeniu.

Na kulinarne wady ten i ów pomruka, Wszyscy możliwy skutek badają w sumieniu... Trwają się...
Jest nie sztuka, ale strawić sztuka”.

„Donna Inez z Portorico”

Inną ciekawostką jest wiersz Miłosza Kotarbińskiego, dawne-go rektora Akademji Sztuk Pięk-nych, brata wielkiego artysty sceny polskiej, Józefa. Rękopis już zaginął, ale humorski, pisa-nej chyba przed 40 laty, w swo-im czasie kazał się nauczyć na pamięć Mieczysław Frenkel. Od-twarzamy jego zakończenie tak, jak nam je podał z pamięci Ta-deusz Frenkel:

„Ja nieraz wszak wspomnieniom mym Powtarzam: „Ach, nie szczypicie” Kobiety wszędzie jedne są W Antyllach czy w Egipcie. I kiwnął głową dumny grand, Wzniósł w górę ręce obie, I kiwnął głową jeszcze raz I wziął i poszedł sobie.

A Diego wściekły miota się —

Serce mu szarpia furję, Zapięknym okiem toczy krąg Spienionym zębem mur je.

„Kobiety! — woła — Teraz ja Już znam was, znam głęboko Na ustach miód i w oku czar A w sercu perskie oko!

Ale czekajcie, przyjdzie czas Ja jeszcze wam pokażę!” Przewrócił stół i szybę stłuk!

I porozpędał strażę, Pięścią o pięść uderza wciąż, Nogami kopie sługi, Wreszcie na łożu z dzikich skór Rozciągnął się jak długi.

Zębami dziko grzrzyta wciąż, Melodję dziką nuci, I dziko chrapiąc dziko śpi I ani się przewróci.

A Donna Inez śmieje się Ma czworo sług z lektyką I paziołów dwóch, i dobrze jej Na cudnem Portorico.”

Grotgerowski wiersz Frenkla

A teraz po wesołości, po hu-morze, pod którym nieraz kryły się rzeczy bolesne, wiersz Mie-cysława Frenkla, napisany przez artystę w ziemie 1915 roku, a więc już w czasie wojny światowej. Komedji” i schodzi jakgdyby w otchłań nieszczęścia i wojny i z grotgerowskim patosem kreśli ta-tułowanym „Rok 1915”, piśnianym ki obraz, który, niestety i dziś

na polskiej wsi może mieć wymo-wę aktualności:

Frenkel miał go deklamować na koncercie w Filharmonji, ale cen-zura niemiecka skreśliła na eg-zeplarnzu zwierzle, zakazujące „verboten”.

Frenkel w swym utworze zaty-tułowanym „Rok 1915”, piśnianym tercyną, wzoruje się na „Boskiej

„Oto com ujrzał: rozstawione mary — A na nich zwłoki strasne, wychudzone... Dziecko, kobieta i mężczyzna stary...”

Więc w przewodnika poglądnęłam stronę, I ze wzruszenia trzęsłem się jak z chłodu. Oko me, jego badało strwożone...

On rzekł pocichu: „Pójdź! — Umarli z głodu I odszedł wlokąc płaszcz swój długi, czarny, Z tego strasznego zagadek ogrodu...”

Tu opuszczamy kilka strof, odsłania dopiero przejmujące za-tembardziej, że intencję Frenkla kończenie:

„Kiedym się zbudził, leżałem na śniegu, I rozwiązane usta moje były, Gwiazdy świeciły w niewstrzymanym biegu.

Więc zawolałem: „Mów, czy mi się śniły Te plące, groby — i co one znaczą? Zali nieziemskie moce przemówiły, Temi modłami i taką rozpaczą? Zali amioły lotosiwe pracy Nad tym padolent skarzają się i płaczą?

A on mi głucho odparł: „To Polacy...”

Uświadomił sobie, że ucieka. Wciąż mu się zdawało, że ktoś za nim idzie i ktoś go szpieguje. Czuł wkłó sie-bie sieci zastawione przez potężnego i bezwzględne-go przeciwnika.

— Przywidzenia — myślał. — Za dużo w życiu prze-czytałem powieści kryminalnych i teraz mi się zdaje, że w życiu jest tak, jak w romansie.

Był jednak zadowolony, że nikogo nie było w pobli-żu. W dali stała samotna taksówka. Podszedł do niej wolnym krokiem.

— Wolna?

— Proszę.

— Na most Poniatowskiego.

Gdy dojeżdżali do Wisły, dał nowe polecenie: na Dworzec Główny.

Dopiero stąd, z rozmównicy, zatelefonował do Lipo-wieckiego. Miał pewność, że go nikt nie zauważył.

— Pan Olcha? Mówi Barczyński. Muszę się z pa-nem zobaczyć szybko, ale tak, żeby bezwarunkowo nikt nie wiedział o naszym spotkaniu. Sprawa groźna.

Agent odrazu zorientował się, że Barczyński coś wie i jednocześnie ma powody, dla których unika rozmowy telefonicznej na ten temat. Wobec tego nie zadawał py-tań i odpowiedział:

— Niech pan jedzie na wybrzeże Kościuszkowskie, ale z takim obliczeniem, żeby być na miejscu za pół godziny, nie wcześniej. Na brzegu warszawskim, tuż przy moście Poniatowskiego znajdzie pan przystań „Johnson”. Tam pan powie głośno: „Chcę wynająć mo-torówkę na dwie godziny do Czerniakowa”.

Barczyński usłyszał cichy dzwonek, oznaczający od-łożenie słuchawki.

Podszedł do kiosku i kupując papierosy, zapytał, skąd i jakim tramwajem może się dostać do mostu Poniatow-skiego. Mimowoli nasunęło się wspomnienie o przygo-dzie w Poznaniu, tembardziej, że panna była też ładna i wyjątkowo chętnie udzielała informacji. Tym razem nie zawierał znajomości, uchylił kapelusza i prędko od-szedł.

Upłynęło pół godziny, zanim Barczyński się znalazł

— Niech pan zapyta, czy nie mówiła, że jeszcze dziś wraca na wieś?

— Dobrze. Dziękuję. — Odłożył słuchawkę i zwrócił się do agenta. — Nie, powiedziała, że koło jedenastej będzie w domu. Co robić?

— Przedewszystkiem nie denerwować się zawczasu — odpowiedział Lipowiecki. — Narazie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać do godziny jedenastej lub do wpół do dwunastej.

Skałkowski nie wtrącał się do rozmowy, jednak pil-nie nadśluchiwał i teraz już podzielał zaniepokojenie Barczyńskiego.

Minuty wlokły się długie jak godziny, wskazówki wielkiego zegara ściennego, zdawało się, zastygły w bez-ruchu.

Godzina jedenasta i wpół do dwunastej nie wniosły nic nowego.

Lipowiecki był zamyślony. Gdy odeszli od telefonu i znów zasiadli przy stoliku, na którym w dwóch popiel-niczkach piętrzyły się stopy niedopalków, przerwał uciążliwe milczenie i zaczął szczegółowo rozpytywać Barczyńskiego, jak spędził dzień dzisiejszy, gdzie był z panną Lolą, czy nie zauważył nic, co wydawałoby się podejrzanem choć w najniższym stopniu. Badania nie dały żadnego wyniku.

Widząc, że Barczyński już nie może usiedzieć na miejscu, agent zaproponował mu, by się udał razem z nim na poszukiwanie.

Poszli na plac Teatralny do komisariatu policji i Li-powiecki zaczął telefonować na wszystkie strony, zasię-gając informacji o zgłoszonych wypadkach samocho-dowych, nagłego zasnienia i t. p. Znów nie.

Dniało, gdy wyszli na ulicę. Deszcz nie ustawał.

Barczyński znacznie upadł na duchu, szedł ponury i zamyślony. Ocknął się, gdy stanęli przed wejściem do hotelu, spojrział na Lipowieckiego, który pochwylił wzrok i zrozumiał, że w tym stanie samotność będzie mu zaledwie ciężarem. Wziął Barczyńskiego pod rękę i po-prawdził do znajdującej się w pobliżu knajpy nocej..

Zajeli stolik w sali bufetowej. Widocznie zabawa by-ła w pełni: zdaleka dochodziły wrzaski podochoconej